

Krzyczkowski, Henryk

Mieczysław Kruszewski

Przegląd Pruszkowski nr 1, 65-83

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Henryk Krzyczkowski
Z cyklu „Moi przyjaciele”

MIECZYŚLAW KRUSZEWSKI

Mieczysław Kruszewski urodził się w dniu 25 listopada 1914 roku w Warszawie w rodzinie rzemieślniczej. Gdy skończyła się pierwsza wojna światowa w Pruszkowie przystąpiono do odbudowy Warsztatów Kolejowych. W dużej, mechanicznej kuźni zatrudniono ojca Mietka, wtedy rodzina Kruszewskich przeprowadziła się do Pruszkowa.



Marzec 1928 r. Klasa 6 szkoły „Kolejowej” na Papierni.

Późniejsza nazwa: Szkoła im. Marii Skłodowskiej - Curie.

W środku siedzą: kierowniczka Szkoły pani Januszkiewicz i wychowawczynie VI klasy pani Franciszka Nurkiewicz Rząd u góry od lewej: Aluchna, Mieczysław Kruszewski, Kazimierz Drygas, Marian Michalski, Zygmunt Pokrzywnicki, Zalas, Henryk Krzyczkowski, Piotr Wytrychowski.

Po raz pierwszy drogi naszego życia - Mietka i moja - zetknęły się w dniu 1 września 1933 roku, na rozległym, piaszczystym dziedzińcu, tuż obok piętrowego budynku z czerwonej, prasowanej cegły, zbudowanego przez Dyрекcję Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej na Żbikowie, w pobliżu Warsztatów Kolejowych i nie istniejącego dziś przejazdu.

Gdy na tych ziemiach, zniszczonych krwawą wojną, zapanował wreszcie pokój i powstała Niepodległa Polska, wprowadzono nareszcie obowiązki kształcenia dzieci, okazało się, że dla wielu młodych ludzi nie było miejsca w szkołach, mimo, że w pośpiechu przerabiano domy mieszkalne na prymitywne budynki szkolne, bez kanalizacji i wodociągów. W tym czasie zaczęły powracać do Pruszkowa rodziny kolejarskie, ewakuowane w latach 1914-15 w głąb Rosji. Gdy okazało się, że dla tych dzieci zabrakło miejsc w szkołach, Dyrekcja Polskich Kolei Państwowych postanowiła oddać na potrzeby szkolnictwa dwa swoje budynki, które miały służyć przede wszystkim dzieciom z rodzin kolejarskich. Był to duży budynek dawnego szpitala na Papierni oraz piętrowy budynek na Żbikowie, gdzie rozpoczynaliśmy naukę. Jeśli w jakiejś klasie szkół kolejowych były wolne miejsca, przyjmowano także dzieci nie kolejarzy.

Już pierwszego dnia okazało się, że los połączył nasze nazwiska w dzienniku klasowym: Kruszewski i Krzyczkowski. Ta kolejność odczytywania podczas sprawdzania listy obecności została zachowana przez sześć lat mojej nauki w szkole „Kolejowej”. A później, w 1935 roku spotkaliśmy się na Komisji Poborowej. Również tam stałem w „stroju adamowym” za Mietkiem Kruszewskim.

Komisja Poborowa uznała nas za zdolnych do służby wojskowej i już we wrześniu odjechałem do Szkoły Podchorążych w Pułtusku, a Mietek w następnym roku rozpoczął edukację wojskową w Szkole Podchorążych w Łodzi.

Nasze spokojne życie, a także plany na przyszłość, skończyły się w dniu 1 września 1939 roku. Zawalił się nasz świat!

W końcu sierpnia Mietek został zmobilizowany do 30 pułku piechoty, stacjonującego w Cytadeli Warszawskiej. A ja w dniu 3 września odjechałem do 34 pułku piechoty w Białej Podlaskiej. Mietek był już podporucznikiem rezerwy. Dowodził plutonem.

Wraz ze swoim 30 pułkiem piechoty im. Strzelców Kaniowskich brał udział w obronie Warszawy. Po kapitulacji stolicy nie poszedł do niewoli.

Przedostał się na Pragę, do mieszkającej na Targówku swej siostry - Stefanii. Przebrał się w cywilne ubranie i przy najbliższej okazji powrócił do Pruszkowa.

W końcu listopada, gdy dowiedział się o mojej nieudanej wyprawie na Zachód, dokąd wybrałem się przez Krynicę i Słowackie Tatry, postanowił wędrować do Rumunii przez dawne nasze Kresy Wschodnie. Liczył na pomoc szkolnego kolegi, Mariana Łukasika, pruszkowianina, który już przed wojną zamieszkał w Białymstoku. Usunięto go z Uniwersytetu Warszawskiego za umieszczanie w komunizującej gazecie kłamliwych informacji o profesorach z tej uczelni. Podobno, jak mówiono w Pruszkowie,

Marian csiadł w Białymstoku, jako funkcjonariusz partyjny, działającej w konspiracji Komunistycznej Partii Polskiej.

Mietek, żegnając się ze mną, wziął ze sobą mapę Polski, wyrwaną przeze mnie z dużego Atlasu Geograficznego Korzona. Składając Mietkowi życzenia szczęśliwego dotarcia do wymarzonej Francji, sam byłem zdecydowany pozostać w Kraju. Ostrzegałem Mietka przed „Sowieckim Rajem”, z którym zetknąłem się we wrześniu w Międzyrzeczu Podlaskim. Mietek wyruszył na swoją wędrówkę w towarzystwie kolegi z Komorowa - Bogdana Zabłockiego. Opuścili Pruszków w połowie grudnia 1939 r.

Zobaczyliśmy się dopiero po blisko trzydziestu latach. Mietek opowiedział mi wtedy, jak przed przekroczeniem „linii demarkacyjnej”, w pobliżu Małkini, jadł kolację w jakiejś leśniczówce. Żona leśniczego częstowała ich białą kielbasą z kapustą, popijaną szklanką samogonu.

W środku nocy leśniczy przeprowadził ich „na sowiecką stronę”, omijając posterunki i niemieckie, i sowieckie. Otumanieni wódką, nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, że już są po drugiej stronie granicy. Z tej wyprawy Mietek najlepiej zapamiętał smak białej kielbasy - po wielu latach, gdy odwiedzał mnie w Warszawie, zawsze prosił moją żonę - Eufrozyne - o przygotowanie obiadu z białą kielbasą i z kapustą. Biała kielbasa z kapustą zawsze, po każdym przylocie Mietka do Kraju, podczas każdej wizyty u nas zjawiała się na stole.

Mietek wspominał niezmiennie tamten wieczór i wędrówkę przez ośnieżony las. Przekraczając granicę, udawali przemytników.

Nieśli ze sobą kilka kilogramów cukru i soli, dużą ilość zapalek oraz igły i nici. Były to artykuły, których brakowało „po tamtej stronie”.

W Białymstoku odszukali Mariana Łukasika. Odradził im wędrówkę przez Litwę, doradzał drogę przez Lwów. Podczas szczerzej rozmowy z Marianem, Mietek wyczuł, że ten zajadły komunista po trzech miesiącach pobytu w wymarzonym „Raju”, zmienił swe poglądy na „realny komunizm”. Marian załatwił im jakieś przepustki umożliwiające podróż do Lwowa. Dał im także adres Stanisława Gruszczyńskiego, ostatniego burmistrza Pruszkowa, który podczas słynnej wędrówki za Wisłę w 1939 roku zatrzymał się we Lwowie.

Lwów okazał się zupełnie innym miastem. Puste lub pozamykane sklepy, brudne, nie zamiatane ulice, restauracje zamienione w stołówki, gdzie wydawano obiady na jakieś kartki.

W starej książce telefonicznej wynalazł Mietek numer telefonu do rodziny kolegi ze studiów, z warszawskiej SGH. Okazało się, że kolega nie powrócił z wrześniowej wojny, że nie dał żadnego znaku życia. Podczas długiej rozmowy ustalili z ojcem kolegi trasę dalszej wędrówki, w kierunku granicy rumuńskiej. Należało jechać pociągiem przez Sambor, w kierunku

ku granicy. Miało to być uzgodnione z polskimi maszynistami, że przed Samborem pociąg zwolni, aby zagrożeni aresztowaniem podróżni mogli wyskoczyć z pociągu, okrążyć przedmieściami miasto i za Samborem oczekiwać na zwalniający znowu bieg, ten sam pociąg. W Samborze kontrola dokumentów podróżnych trwała około godziny. Dalsza podróż miała się odbywać bez kontroli dokumentów, tylko należało opuścić pociąg w odległości kilku kilometrów od granicy, podczas następnego, umówionego zwolnienia biegu pociągu.

Widocznie ten dobrze opracowany plan znany już był władzy sowieckiej, gdyż przed Samborem, gdy pociąg zwolnił bieg, kilkunastu młodych ludzi, wyskakujących na tory kolejowe, zostało aresztowanych przez sowiecką policję. Po kilkudniowym pobycie w samborskim areszcie, schwytanych przewieziono do więzienia w Winnicy, gdzie rozpoczął się kilkumiesięczny okres przesłuchiwań, połączonych z biciem i różnymi formami znęcania się nad uwięzionymi.

Po kilku dalszych miesiącach odczytano Mietkowi przysłany z Moskwy wyrok: kara śmierci, zamieniony na dwadzieścia pięć lat osadzenia w „łagrze” - karnym obozie pracy.

W winnickim więzieniu, w niewielkiej celi, przebywało czterdziestu więźniów, w tym kilkunastu Polaków, wybierających się do polskich formacji zbrojnych na Zachodzie. W celi nie było ani prycz, ani krzesel, tylko kubeł na nieczystości.

Pod koniec maja 1940 roku przewieziono skazanych do „łagru Aleksandrowka I”, gdzieś pomiędzy Archangielskiem a Wołogdą. Po wielu latach Mietek mówił nam, że nikt nie potrafi opisać tego upodlenia, do jakiego zwyrodniały komunizm doprowadzał ludzi. Pierwszej nocy skradziono Mietkowi buty trzymane pod bardzo zniszczoną poduszką. Były to wojskowe, przedwojenne buty, z podkówkami i z 32 gwoździami na zelówce. Jakiś wytrawny złodziej wyciągnął je umiejętnie spod głowy śpiącego a następnie wyniósł je do innego baraku. Przez wiele tygodni Mietek musiał wychodzić do pracy w lesie w prymitywnych chodakach, zrobionych z kawałków opony samochodowej powiązanej umiejętnie drutem. Dopiero po wielu tygodniach odziedziczył mocno już zniszczone buty po zmarłym na sąsiednim barłogu więźniu.

Przydzielono Mietka do grupy zbierającej żywicę ze ścinanych drzew. Żywicę ładowano do beczek. Załadowana żywicą beczka powinna ważyć 50 kg. Grupa, w której był Mietek, miała wyznaczoną normę 20 beczek dziennie. Od wykonania norm zależał przydział chleba. Szybko opracowano metodę wykonywania i przekraczania normy. Na dno beczki sypało około 10 kg żywicy, układano grubą warstwę gałązek, na to kładziono warstwę kamieni, które przykrywano warstwą gałązek i dopiero na to

układano warstwę żywicy. Przykrywano to wszystko drewnianym dekle. Przy odbiorze dziennej produkcji dwóch strażników ważyło każdą beczkę. Inni strażnicy odbijali przykrywy z jednej i z drugiej strony sprawdzając, czy w beczce jest żywica. Robiono to w pośpiechu, wiele grup oddawało żywicę. Nie było czasu na dokładne sprawdzenie zawartości. W ten sposób grupa wykonywała normę i nawet miała czas na odpoczynek. Co myśleli robotnicy w fabryce, do której wysyłano te beczki - nikt nie wie.

Zapamiętałem twierdzenie Mietka, że warunki panujące w sowieckich „łagrach” były znacznie gorsze od tych, jakie panowały w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Świadczy o tym śmiertelność więźniów. A zwyrodnienia sowieckich strażników nikt nie zdoła opisać.

Wielkim zaskoczeniem dla łagierników była wiadomość o wybuchu wojny z Niemcami. Po pierwszych sukcesach wojsk niemieckich więźniom wydawało się, że już nie długo zostaną uwolnieni, że powrócą do swoich domów. Zima przyniosła rozczarowanie. Front na razie zamarł. A wiosną opuściły więźniów złudne nadzieje i stopniowo narastało przekonanie o trwałości systemu komunistycznego. Toteż trudno sobie wyobrazić radość Polaków, gdy komendant „łagru” na wieczornym apelu zawiadomił ich o układzie Sikorski - Majski i o tym, że ogłoszono amnestię dla uwięzionych Polaków. Radość jeszcze się wzmogła na wiadomość, że pojedą samochodami do leżącej dość daleko stacji kolejowej, skąd odjadą do jakiegoś punktu zbiornego Polaków nad Morzem Kaspijskim.

Podróż towarowymi wagonami trwała dość długo. Moskwę omijano z daleka. Po drodze zabierali rodziny Polaków, wysiedlonych z dawnych Kresów Wschodnich. W wagonie, obok Mietka, siedziała na podłodze kobieta z trojgiem małych dzieci. Pochodzili z Grodna. W tym okresie rodziła się pomiędzy Polakami ogromna solidarność. Po wielu latach Mietek wspominał spojrzenia małych dzieci na widok połowy bochenka chleba, wyciągniętej przez Mietka ze zniszczonej torby, służącej jako chlebak. Brudni, wychudzeni, w łachmanach nie mogli oderwać wzroku od chleba. Mietek zapamiętał to spojrzenie. Był bardzo głodny, jednak po chwili namysłu oddał dzieciom swój chleb. Matka, na pewno również bardzo głodna, nie sięgnęła po chleb. Na krańcowej stacji ludzie nadmiernie utrudzeni, wychudzeni, schorowani, brudni, nieogoleni, w łachmanach, wlekli się, noga za nogą, omijając miasto, skrajem jakiegoś lasu, za którym miał być polski obóz. W pewnej chwili usłyszeli grany na trąbce Hejnał Mariacki. Było południe. Na głos tej melodii ludzie padali na kolana, modlili się płacząc. Dziękowali Panu Bogu, że pozwolił im dożyć takiej chwili, że są wśród swoich i że na pewno teraz wszystko odmieni się na lepsze.

Do wielkiego obozu, zorganizowanego przez Rząd Polski w Londynie przy pomocy Anglików i Amerykanów, przybywali Polacy ze Związku Radzieckiego, z jego części nie objętej działaniami wojennymi. Jednak nie we wszystkich rejonach tego rozległego kraju władze chciały pozbyć się taniej siły roboczej, nie wszędzie zawiadamiano Polaków o amnestii, o możliwości szukania pomocy w ośrodkach, tworzonych przez rząd gen. Sikorskiego.

Tych, którym udało się dotrzeć do obozu nad Morzem Kaspijskim, czekała najpierw trzytygodniowa kwarantanna, poprzedzona kąpielą i stryżeniem oraz zmianą bielizny i ubrania. Podczas kwarantanny poddawani byli badaniom lekarskim, dostawali witaminy i potrzebne lekarstwa.

Wielkim wydarzeniem dla Mietka było spotkanie w obozie dwojga rodaków z Pruszkowa. W Izbie chorych odnalazł gimnazjalnego kolegę Mariana Łukasika, z którym kontaktował się w 1939 r. planując przedostanie się na Zachód. Podczas spaceru nad morzem spotkał córkę właściciela fabryki Fajansowej Ehrenreicha, którą znał z Pruszkowa. Po paru miesiącach, podczas pobytu w Palestynie, odszukała Mietka, aby się z nim pożegnać. Pozostała w środowisku żydowskim z zamiarem wyemigrowania do USA Marian Łukasik, poważnie chory, długo leżał w szpitaliku, gdzie zmarł. Został pochowany na polskim cmentarzu w Krasnowodzku nad Morzem Kaspijskim z setkami innych Polaków, którzy nie doczekali chwili opuszczenia „niehumanitarnej ziemi”.

Mietek odpłynął ze Związku Radzieckiego pierwszym transportem. Płynąc przez Morze Kaspijskie dotarli do Persji (obecnie Iran). Tu pozostała większość rodzin. Młodzi ludzie płynąc dalej przez Ocean Indyjski, Morze Czerwone i Kanał Sueski - dotarli do Palestyny. W pobliżu Jerozolimy, na terenie obecnego państwa Izrael, został Mietek wcielony do III batalionu 1 Brygady Strzelców Karpackich. Dopiero dzisiaj, w cztery lata po śmierci Mietka, z przykrością stwierdzam, że za mało poznałem szczegółów z jego żołnierskiego życia. Zarówno z Kampanii Wrześniowej, jak z pobytu w Palestynie i z Kampanii Włoskiej. Zapamiętałem doskonale, że już od jego pierwszego pobytu w Polsce, w latach sześćdziesiątych, najczęściej mówiliśmy o warunkach naszego życia w PRL., musiałem wyjaśniać pewne rzeczy, których on nie rozumiał, musiałem dokładnie wyjaśniać nawet zmiany w naszej psychice, wywołane przez system komunistyczny. Wielu rzeczy nie mógł zrozumieć, tak bardzo różniły się warunki jego życia, od warunków, w których my żyliśmy.

Pamiętam pierwszą po wojnie wizytę Mietka w Polsce. Przyjechał nowym Mercedese, wynajętym w Danii. Samochód budził sensację. Obyliśmy wspólną podróż do Krakowa, do Myślenic, gdzie mieszkał jego przyjaciel z 2 Korpusu oraz do Wrocławia. W przerwach pomiędzy moimi

opowiadaniem o mijanych okolicach, o miastach i fabrykach Mietek opowiadał najchętniej o pobycie na Wyspach Brytyjskich. Wśród polskich żołnierzy znaleźli się byli reprezentanci Polski w koszykówce, którzy zajęli pierwsze miejsce w rozgrywkach o mistrzostwo Armii Sprzymierzonych. Uszczęśliwiony generał Wł. Anders udzielił każdemu koszykarzowi miesięcznego urlopu połączonego z przydziałem do dyspozycji na cały ten miesiąc samochodu „Willys”. Mietek spędził ten urlop we Włoszech.

Po powrocie do Anglii poznał Mietek młodą, ładną Polkę. Marysia Bednarska pochodziła z Nowogródka. Była sierotą. Losy wojny rzuciły ją na Wyspy Brytyjskie. Była córką rotmistrza Edwarda Bednarskiego z 25 pułku ułanów, stacjonujących w Prużanie. Ojciec, świetny jeździec odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* za wojnę 1920 r., poznał w Nowogródku piękną dziewczynę, o egzotycznej urodzie. Była córką generała, dowódcy tatarskich formacji w carskiej armii. Był tatarskim emirem, właścicielem 500 hektarowego majątku pod Nowogródkiem. Zakochany rotmistrz poślubił piękną muzułmankę w kalwińskim kościele, w Wilnie. Gdy Marysia miała 3 lata, ojciec uległ wypadkowi podczas zawodów konnych na kawalerskim torze przeskód, w pobliżu warszawskich Łazienek. Świetny kawalerzysta zmarł po przewiezieniu do szpitala. Pochowany został na cmentarzu kalwińskim przy ul. Żytniej w Warszawie. Wkrótce zrozpaczona żona popełniła samobójstwo. Pochowano ją na cmentarzu muzułmańskim pod Nowogródkiem. Osieroconą Marysię wychowywał dziadek, tatarski carski generał.

Mietek poznał Marysię podczas jakiejś uroczystości w środowisku emigracji polskiej pod Londynem. Była ładną dziewczyną o egzotycznej urodzie, obdarzoną przyjemnym sopranem. Śpiewała w chórze. Wkrótce pobrali się. Postanowili osiedlić się w Argentynie. Wybierało się do tego kraju kilkadziesiąt tysięcy polskich żołnierzy. Mietek postanowił zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć na kupno maszyn do budowy szos. Amerykanie, przygotowując się do inwazji na Europę, przywieźli wiele takich urządzeń i maszyn na Wyspy Brytyjskie. Po wojnie można je było kupować prawie "za bezcen". Anglicy, chcąc się jak najszybciej pozbyć obcych, nie potrzebnych już żołnierzy, postanowili płacić nie tylko za bilet ludzi do kraju osiedlenia, ale i za bagaż odjeżdżających żołnierzy. Bagaż Mietka to było kilkanaście różnych maszyn i samochodów zakupionych z amerykańskiego „demobilu”. Gdy Mietek odpływał do Argentyny, Marysia w zaawansowanej ciąży pozostała na Wyspach pod opieką sióstr zakonnych. Tu urodził się najstarszy syn - Wojciech Adalbert - obywatel brytyjski.

Argentyna, do której przyplłynął Mietek, przeżywała okres niebywałego dobrobytu. Mietek osiedlił się w mieście San Luis, dokąd ściągnął przywieziony sprzęt: maszyny i urządzenia do budowy szos. Podpisał umowę na budowę pierwszego odcinka szosy, ściągnął kilku fachowców i rozpoczął budowę drogi na wskazanej trasie.

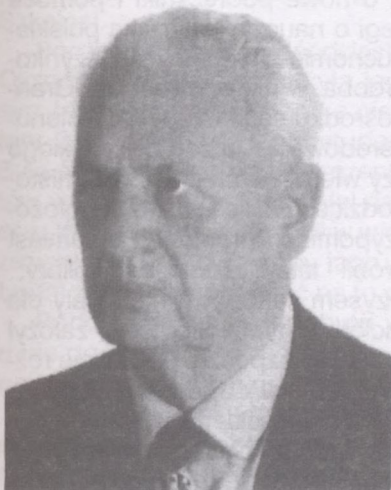
Po roku wyczerpującej pracy Mietek ściągnął do Argentyny Marysię z małym synkiem. Tu rodzili się następní synowie: Ricardo, Luis oraz Marcos (Ryszard, Ludwik i Marek). Gdy Mietek nabrał większego doświadczenia, przystąpił do budowy autostrad nadal wykorzystując sprzęt przywieziony z Anglii. Przez najbliższe kilkadziesiąt lat, aż do wybuchu kryzysu paliwowego, wybudował Mietek ponad 800 km autostrad, kilkaset kilometrów pięknych, nowoczesnych szos oraz 43 mosty.



Rodzina państwa Kruszewskich w ich domu w Argentynie. Od prawej siedzą: Mieczysław Kruszewski i jego synowa Walentyna. Stoją (od prawej): syn Marek, Maria - żona Mieczysława, Aleksander - wnuk, Klaudia - synowa, Edward - wnuk, za nim stoi Wojciech - syn, obok (z brodą) Ryszard - syn.

Argentyna, nie biorąca udziału w drugiej wojnie światowej, była wtedy jednym z najbogatszych krajów świata. Do walczących krajów eksportowała zboże, mięso oraz skóry. Na ogromnych, bezkresnych pastwiskach Patagonii wypasały się milionowe stada krów, które - atakowane przez kąśliwe muszki - wytwarzały grubą skórę, która idealnie nadawała się na wojskowe buty. Przepuszczała bowiem powietrze nie przepuszczając wody. Wszyscy żołnierze amerykańscy mieli buty z argentyńskiej skóry. Gdy skończyła się wojna, argentyńskie banki „dusiły się” od nadmiaru pieniędzy.

Argentyną rządził wtedy Peron wraz z ukochaną przez naród żoną - Evitą. W kilka lat po zakończeniu wojny te dwa słowa: Evita i Peron stały się symbolem miłości panujących do ludu, której wyrazem były przyjęcia urządzane w każdą sobotę i niedzielę na wielkim placu przed pałacem



Mieczysław Kruszewski.
Zdjęcie z 1995 roku.

prezydenckim „Casa Rosada”. Na placu ustawiano stoły, krzesła i ławy dla biesiadników. Na stołach zjawiały się butelki dobrego argentyńskiego wina, talerze oraz noże i widelce, a w koszykach pieczywo. Na talerze nakładano pieczeń wołową, słynne argentyńskie „asado”. Wokół placu stały rożna, na których pieczono duże porcje wołowiny. Każdy kto chciał, mógł zasiąść za stołem i jeść ile wlezie. Jedzącym przygrywały orkiestry, czasami zjawiała się Evita, śpiewająca swoje piosenki. Pociągi przywoziły bezpłatnie z całego kraju chętnych do darmowej biesiady. Dla najuboższych Argentyńczyków te sobotnio-niedzielne przyjęcia u Evity i Perona stały się niezapomnianymi wydarzeniami. Takie „słodkie życie z Evitą” trwało kilkanaście lat, a skończyło

się katastrofą finansową państwa. Evita w porę umarła. Perona przepędzono. Pozostały jednak straty moralne, które nie dadzą się tak łatwo naprawić. Wśród ludzi prostych, ubogich narastało przekonanie, że należą im się takie zabawy, tylko że teraz nie ma Evity, a ci co rządzą krajem, nie chcą im tego dać, zgarniając wszystko dla siebie. Okres rządów Perona zmienił także sposób myślenia wyższych urzędników, państwowych i samorządowych. Narastało przekonanie, że państwo jest po to, aby czerpać z niego korzyści, aby wyciągnąć z niego, co tylko się da. Narastała co raz większa korupcja, łapownictwo, złodziejstwo grosza publicznego. Ta demoralizacja wyższej warstwy urzędniczej przyniosła Argentynie opłakane rezultaty.

Państwo zaczynało żyć na kredyt, z zaciąganych pożyczek.

Przez te wszystkie lata przedsiębiorstwo Mietka bez żadnych zakłóceń budowało szosy, kiedy niespodziewanie spadł na całą światową gospodarkę t.zw. „kryzys paliwowy”. Raptownie zdrożała ropa naftowa, benzyna oraz artykuły ropopochodne. Ceny zwyżkowały kilkunastokrotnie. Wprowadzenie nowych cen spowodowało bankructwo przedsiębiorstwa.

Mietek miał coraz więcej wolnego czasu i mógł poświęcić się pracy społecznej wśród argentyńskiej Polonii. Został prezesem Polskiej Macieży Szkolnej. W krótkim czasie stworzył Oddziały PMS we wszystkich miastach Argentyny, gdzie mieszkali Polacy, zarówno ze starej jak i z nowej

emigracji. Każdego roku trwały starania o nowe podręczniki i pomoce szkolne dla polskich dzieci, a także zabiegi o nauczycieli języka polskiego. Dzięki staraniom Mietka udało się uruchomić Ośrodek Wypoczynkowy dla polskiej młodzieży w prowincji Cordoba, w miejscowości La Granja, nad rzeką o tej samej nazwie. W tym ośrodku setki młodych „Polonusów” spędzało wakacje, żyjąc w polskim środowisku, ucząc się polskiego języka i polskich obyczajów, poznając przy wieczornych ogniskach historię Polski, kraju z którego pochodzili ich rodzice. Okolica, w której położony jest Ośrodek Wypoczynkowy PMS przypomina Poronin, tylko zamiast Dunajca, płynie tu La Granja, a zamiast wróbli - latają tu kolorowe kolibry.

Trudności finansowe, związane z „kryzysem naftowym” nie trwały dla Mietka zbyt długo. Dzięki pomocy przyjaciół - w tym i Niemców, założył Mietek przedsiębiorstwo zupełnie innej branży. Rozpoczął produkcję różnego rodzaju śrub, nakrętek i wkrętów. Wykorzystał odpowiednią chwilę, w której rozpoczęła się „inwazja” przemysłu niemieckiego w Argentynie. Budowano różne fabryki i powstało wielkie zapotrzebowanie na różnego typu śruby i wkręty w niemieckim systemie DIN, a nie jak w dotychczas stosowanym systemie calowym.

Mietek uruchomił produkcję na nowoczesnych, automatycznych obrabiarkach, sprowadzonych z Niemiec i ze Szwajcarii. W krótkim czasie opanował całkowicie rynek południowoamerykański. Zaniechano już importu tych wyrobów z Niemiec. Po kilku latach Mietek wybudował już własną fabrykę dzięki gwarancjom, udzielonym przez zaprzyjaźnionych Niemców.

Mietek płacił za dostarczone z Europy maszyny dopiero po półrocznej ich eksploatacji. Po kilku latach pracy Mietek spłacił wszystkie zobowiązania i znowu mógł co kilka lat odwiedzać Polskę. Niemcy budowali w Argentynie co raz to nowe fabryki: samochodów, różnego rodzaju aparatury, telewizorów, pralek i lodówek, potrzeba więc było co raz więcej śrub i śrubek w systemie DIN.

Uruchomienie nowej produkcji związało Mietka na stałe z Buenos Aires. Rodzina zamieszkała w centrum miasta. Na niedzielny odpoczynek przyjeżdżano do podmiejskiego Moreno, gdzie wokół willi był ogród z basenem i drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi.

W tym okresie Mietek poświęcał co raz więcej czasu pracy społecznej. Kolejni synowie przygotowywali się w polskim kościele do Pierwszej Komunii św. W Moreno niekiedy zabierali na niedzielne nabożeństwo mieszkającą w pobliżu panią Guevare, matkę słynnego rewolucjonisty - Che. Którejś niedzieli, po nabożeństwie, Mietek spotkał polskie zakonnice. Gdy dowiedział się, że w Argentynie pracuje kilkadziesiąt polskich sióstr, uzyskał zgodę siostry przełożonej na pomoc sióstr w nauczaniu ojczyścego

języka dzieci pochodzenia polskiego w ośrodkach Polskiej Macierzy Szkolnej.

Począwszy od lat sześćdziesiątych Mietek odwiedzał co kilka lat swoją Ojczyznę. W Warszawie żyła jego matka, siostry: Janina i Ewa, Adam - syn Janiny oraz Hania, córka nieżyjącej siostry Stefanii. Adam był studentem Politechniki, a Hania studentką Akademii Wychowania Fizycznego. Była świetną siatkarką, reprezentantką Polski. Przy okazji jednego z pobytów w Polsce wybrał się dalej na wschód. Odwiedził Leningrad, Moskwę, oraz Winnicę, gdzie spędził w więzieniu kilka miesięcy. Nie uzyskał jednak zezwolenia na odwiedziny łagru „Aleksandrowka” chociaż bardzo chciał bodaj z daleka, popatrzeć na to przeklęte miejsce.

Podczas kolejnego pobytu w Polsce, w roku 1976, Mietek zaprosił mnie do odwiedzenia Argentyny. W połowie stycznia 1977 roku wypłynęłam z Gdyni na ms „Romer” w daleką podróż.

Argentyna jest krajem siedmiokrotnie większym od Polski. Liczyła wówczas 24 miliony ludności. Połowa mieszkała w stolicy - Buenos Aires. Na rozległych „pampasach” wypasało się 270 milionów sztuk bydła. Drugie bogactwo kraju to pszenica, której uprawiano tam sześć gatunków.

Dopiero po upadku Perona ujawniły się w pełni straty, jakie poniosła gospodarka argentyńska, zarówno na skutek rozrzutności, jak i bezkarne go okradania państwa przez wysokich urzędników.

Z poważnego kryzysu gospodarczego udało się wyjść dzięki pomocy Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Pomoc udzielona przez MFW pociągnęła za sobą szereg różnych inwestycji. Najwięcej inwestowali Niemcy. Budowali elektrownie i sieć elektryczną, powstawały zakłady przemysłu elektronicznego, artykułów gospodarstwa domowego. Francuzi i Amerykanie rozpoczęli produkcję samochodów. Dzięki Japończykom powstawały wielkie plantacje winogron, brzoskwiń i jabłek. Dla potrzeb japońskich smakoszy hodowano specjalne gatunki krów, pojonych ciemnym piwem i masowanych kilka razy dziennie. Mimo pewnej poprawy gospodarczej i zahamowania szalejącej inflacji, nie dochodziło do pełnej stabilizacji stosunków gospodarczych. Żadnemu z kolejnych rządów nie udało się zwalczyć korupcji, łapownictwa i rozkradania majątku państwowego. Gdy nastąpił kolejny kryzys, zaczęto przypominać sobie złote lata rządów Juana Perona. Ktoś zaproponował, aby dawnego dyktatora ponownie wybrać prezydentem. Peron na wezwanie przybył z Hiszpanii. Nie było już Evity, ale była dużo młodsza od Perona tancerka i pieśniarka kabaretowa - Isabel. Umiejętnie przeprowadzona akcja propagandowa doprowadziła do zwycięstwa Perona w wyborach prezydenckich. Wybrano nowy parlament, przychylny Peronowi. Nowa konstytucja przewidywała, że na wypadek śmierci Perona prezydentem zostanie Isabel, która na ra-

zie pełniła funkcje premiera. Przewodniczącym parlamentu został dawny sierżant policji, a późniejszy właściciel restauracji, w której występowała Isabel.

Prości ludzie nie zapomnieli biesiad na placu przed Casa Rosada oraz piosenek Evity, więc poparli Perona, który odniósł druzgocące przeciwników zwycięstwo. Zapomniano o tym, że to właśnie Peron roztrwonił wielki majątek, zgromadzony podczas wojny, zapomniano o tym, że Peron jest już zupełnie innym człowiekiem, jest schorowanym starcem, a Isabel - to nie Evita, lecz była kochanka sierżanta policji. Peron niebawem umarł i zgodnie z nową konstytucją prezydentem została Isabel, premierem - był sierżant policji, a przewodniczącym parlamentu jego zięć.

Nowy premier powołał kilku swoich znajomych z Hiszpanii na stanowiska ministrów. Szybko rozpoczął się rabunek zasobów pieniężnych Argentyny. Podobno zdołano ukraść kilka miliardów dolarów. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, obserwujący bacznie wydarzenia rozgrywające się w Argentynie, zaalarmował elity polityczne tego kraju. Jedynym czynnikiem, mogącym zapobiec całkowitej klęsce gospodarczej była armia. Na czele przygotowywanego zamachu stanu znalazł się generał Jorge Rafael Videla. Plan przewrotu opracowano dokładnie i w największej tajemnicy. Prezydent Isabel Peron mieszkała w ekskluzywnej dzielnicy Buenos Aires - Martinez, natomiast urzędowała w śródmieściu, w Pałacu Różowym - w Casa Rosada. Śmigłowiec, którym leciała Isabel miał rzekomo jakieś uszkodzenie i musiał lądować na krajowym lotnisku, w pobliżu Rio de la Plata. Isabel przeszła do reprezentacyjnego salonu, aby oczekiwać na drugi śmigłowiec. Gdy przekroczyła próg, drzwi zatrzasnęły się, oddzielając panią prezydent od czterech uzbrojonych mężczyzn jej asysty, za którymi równocześnie zamknęły się drzwi wejściowe. Tak więc pani prezydent i jej ochroniarze znaleźli się w potrzasku, gdyż i jedno i drugie drzwi obito przed kilkoma dniami blachą pancerną. Isabel wyprowadzono innymi drzwiami na zewnątrz do podstawionego śmigłowca, którym odwieziono ją do koszar wojskowych na prowincji. W tym czasie aresztowano również premiera. W ten sposób zakończył się okres rządów Isabel Peron. Władzę objął generał Videla. Marszałek parlamentu zdążył uciec. Zamach stanu odbył się bez rozlewu krwi.

Jednak w kraju nie było spokojnie, gdyż w okresie „drugich” rządów Juana Perona oraz Isabel Peron międzynarodowe siły komunistyczne rozpoczęły walkę o dojście do władzy w krajach Ameryki Południowej. Z Kuby, z Meksyku, z Europy Zachodniej płynęli ochotnicy - aktywiści partyjni - mający dopomagać miejscowym komunistom w zdobyciu władzy oraz w budowaniu nowego, komunistycznego społeczeństwa.



Rok 1996 - w mieszkaniu pp. Krzyczkowskich.
Siedzi Mieczysław Kruszewski, stoi Henryk Krzyczkowski.

Argentyńscy komuniści rozpoczęli działalność „guerilli” - jak nazywano „partyzantkę miejską”. Napadano na banki, na sklepy jubilerskie, na duże sklepy samoobsługowe, rabując gotówkę. Napadano też na bogatych ludzi w ich mieszkaniach, rabując gotówkę i kosztowności. Strzelano do policjantów, pod komisariaty podkładano bomby. Na ludność padł strach, zaczynał się gospodarczy chaos.

O działalności i kłęsce „guerilli” dowiedziałem się w roku 1977 w czasie mojej wizyty u Mietka w Argentynie.

Byliśmy w Moreno, dokąd rodzina Kruszewskich przyjeżdżała na soboty i niedziele.

Pojechaliśmy kiedyś z Mietkiem do dzielnicy willowej, Moreno, leżącej za torem kolejowym. Wiedziałem już, że będziemy oglądali miejsce, gdzie do minionego piątku stała willa szefa policji stołecznej. Jechaliśmy wolno, rozglądając się po okolicznych budynkach i ogrodach. W pewnej chwili znaleźliśmy się obok ogrodzenia z drucianej siatki. Od bramy i furtki biegła asfaltowa droga do nieistniejącej już willi. Widać było kilka powalonych drzew, zerwane dachy z sąsiednich domów, a na miejscu, gdzie stała niegdyś willa, był kilkunastometrowy dół napełniony wodą. Wokół niego rozrzucone cegły, deski, fragmenty dachu, części mebli i rozrzucone książki. Nie zatrzymywali-

śmy się. Gdy wjechaliśmy nr. szosę prowadzącą do Buenos Aires, Mietek opowiedział mi przebieg wydarzeń rozgrywających się tu w miniony piątek.

W nieistniejącej już willi mieszkał, jak już wspomniałem, szef policji prowincji Buenos Aires z żoną, matką żony, dwiema córkami i dwoma synami. Ponadto w willi przebywały dwie służące i dwóch policjantów - wartowników. Przy tej samej ulicy, pięć domów dalej, mieszkała inna rodzina, składająca się z rodziców, osiemnastoletniego syna, dziesięcioletniej córki i jakiegoś „wujka” który - jak się potem okazało - był pochodzącym z Hiszpanii działaczem komunistycznym. Rodzina ta sprowadziła się do Moreno przed kilkoma tygodniami. Obie dziesięcioletnie dziewczynki z tych dwóch sąsiadujących domów chodziły do jednej klasy w pobliskiej szkole. Szybko zawiązała się pomiędzy nimi serdeczna przyjaźń. Tragicznego piątku obie dziewczynki wracały razem ze szkoły. Ta z sąsiedztwa weszła na chwilę do swego domu i zaraz wyszła, mając nadal tornister na plecach. Zadzwończyła do domu szefa policji. Wartownik otworzył im furtkę. Obie dziewczynki weszły do domu. Po chwili wybiegła z domu córka sąsiadów kierując się w stronę furtki. Wyszedł za nią wartownik, aby otworzyć jej furtkę. Tuż za nim wybiegła z domu córka szefa policji wołając do swej koleżanki:

- Wróć po plecak! Zapomniałaś o plecaku!

I w tym momencie wstrząsnął powietrzem straszliwy wybuch. Obie dziewczynki i wartownik byli przy furtce. Dzięki temu ocaleli. Wartownik zatrzymał obie dziewczynki. Po kilku minutach nadjechał samochód policyjny. Na ulicę wybiegli ludzie z sąsiednich domów. Zrobiło się głośno. Od razu było wiadomo, że bomba znajdowała się w plecaku przyniesionym przez dziewczynkę z sąsiedztwa. Policja udała się do domu, gdzie mieszkała. Na podwórku zastali dwóch mężczyzn wynoszących do stojącego tam samochodu jakieś bagaże i walizki. Jak się później okazało, oczekiwali na powrót dziewczynki i jej matki, która - według wcześniejszych ustaleń - miała oczekiwać przed Urzędem Pocztowym na odgłos detonacji. Miała wówczas zawiadomić telefonicznie jakiegoś swojego zwierzchnika organizacyjnego o wykonaniu zadania. Kiedy wróciła do domu, została aresztowana.

Przebieg następnych wydarzeń szeroko opisywała argentyńska prasa. Okazało się, że zrozpaczona matka pragnąc uzyskać zwolnienie syna i córki, ujawniła struktury tajnej komunistycznej organizacji, działającej na terenie Argentyny. Zeznała, że centrala tej organizacji ma swoją siedzibę w centrum Buenos Aires, na dwóch ostatnich piętrach kilkunastopiętrowego gmachu, na szczycie którego jest umieszczona neonowa reklama znanej włoskiej firmy „Olivetti” produkującej maszyny biurowe.



Henryk Krzyczkowski i Mieczysław Kruszewski
w ogrodzie willi w Moreno. Rok 1977.

Z tyłu budynku znajdowały się pojedyncze drzwi wejściowe, za którymi było małe pomieszczenie, skąd kursowały dwie windy, jadące bezpośrednio na najwyższe piętra. Do tych pomieszczeń można było się dostać tylko tymi windami, gdyż t.zw. wejście pożarowe było zablokowane. W odległości kilkudziesięciu metrów od budynku, przy drugiej ulicy, znajdował się kiosk, w którym sprzedawano papierosy, gazety i różne drobiazgi. Siedzący w kiosku sprzedawca miał dwa telefony. Jeden łączył z ostatnimi piętrami, a drugi z pomieszczeniem skąd kursowały windy. Konspirator, pragnący rozmawiać z ludźmi na ostatnim piętrze, musiał podać

sprzedawcy w kiosku umówione hasło i swój pseudonim. Sprzedawca telefonował wówczas do swoich przełożonych z ostatniego piętra, podając uzyskane namiary i jeśli uzyskał zgodę, telefonował z drugiego aparatu do wartowników przy dwóch windach, aby ci otworzyli drzwi przed umówioną osobą.

Zrozpaczona matka dwojga aresztowanych dzieci, licząc na ich uwolnienie, zdradziła policji ściśle tajną metodę umożliwiającą dostanie się do siedziby centrali argentyńskiej „guerilli” - miejskiej partyzantki komunistycznej.

Uderzenie policji było dobrze zorganizowane i bardzo skuteczne.

Agentka tajnej policji, znając umówione hasło i pseudonimy, spowodowała otwarcie drzwi do pomieszczenia z windami. Gdy winda z uzbrojonymi agentami policji ruszyła do góry, równocześnie wysadzono w powietrze zablokowane drzwi prowadzące z pomieszczeń na szczycie budynku do awaryjnych schodów, jakie znajdują się w każdym wysokim gmachu. W tym samym czasie na dachu budynku wyładowało kilkunastu policjantów z brygady antyterrorystycznej przywiezionych śmigłowcem.

Ludzie przebywający na dwóch ostatnich piętrach budynku nie stawili oporu. Podobno zaskoczenie było całkowite. Odzyskano dużą sumę pieniędzy w peso i w dolarach, a także część kosztowności, zrabowanych w sklepach jubilerskich. Zdobyto adresy składów broni i materiałów wybuchowych, nazwiska i pseudonimy czołowych działaczy argentyńskiej partii komunistycznej.

Było to już drugie bardzo ważne, zwycięstwo generała Videla. Od tych wydarzeń rozpoczął się upadek działalności komunistów w Argentynie. Te zwycięstwa zapewniały stabilizację życia, ale dla uzyskania aprobaty dla systemu rządów generała Videli potrzebne było i trzecie zwycięstwo. Wygrana Argentyny w mającym się odbyć w nadchodzącym roku - „Mundialu 78” zapewni generałowi poparcie całego narodu.

Dość szybko udało się generałowi Videli zaprowadzić ład i porządek. Uzbrojone patrole wojska i policji krążyły po ulicach miast i po drogach całego kraju. Do ludzi, którzy wyciągali broń, strzelano bez uprzedzenia. Po wielu latach ujawniono, że aresztowanych komunistów, bez względu na kraj, z którego pochodzili, skrupowanych i odurzonych jakimisź zastrzykami, zrzucano ze śmigłowców do Atlantyku, w odległości kilkunastu kilometrów od brzegów Argentyny. Ślad po nich zaginął.

Gdy podczas „Mundialu 78”, w miejscowości Rosario, w dniu 16.06 1978 r. rozgrywano mecz Argentyna - Polska, nie popisała się nasza drużyna, przegrywając spotkanie 2:0, nasz najlepszy piłkarz nie popisał się swoją grą. Piłka, którą strzelał karnego, ledwo doleciała do argentyńskiego bramkarza. Mietek był przekonany, że ządziały tam pieniądze. Najlepszym dowodem niejasności był fakt, że po „Mundialu” nie powrócił do kraju ani trener reprezentacji - Jacek Gmoch, ani nasz najlepszy piłkarz - Kazimierz Deyna. Gmoch - poprzez Szwecję - trafił do Grecji, a Deyna - po krótkim pobycie w Anglii, - osiadł na stałe w polonijnych klubach w USA.

„Mundial 78” zakończył się zwycięstwem Argentyny, - jednak osobistym tryumfotorem został generał Videla, za rządów którego nareszcie udało się Argentynie osiągnąć najwyższe trofeum piłkarskie.

W kilka lat później generał Videla przeliczył się z siłami. Niepotrzebnie zajął leżące w pobliżu brzegów Argentyny - Wyspy Falklandzkie, nazywane przez Argentyńczyków Malwinami, od dawna należące do Wielkiej Brytanii. Radość w Argentynie nie trwała długo. U wybrzeży Wysp Falklandzkich zjawiała się flota brytyjska, na wyspach wylądowali angielscy spadochroniarze. Upokorzona Argentyna długo leczyła swe rany. Ustąpił generał Videla. Rozpisano wybory parlamentu i prezydenta.

W tym czasie Mietek przeszedł na emeryturę. Wydzierżawił swój lokal fabryczny. Emerytury Mietka i Marysi, wpływ gotówki za wydzierżawiony lokal fabryczny oraz odsetki od zaoszczędzonego kapitału zapewniały im godziwe życie. Mietek poświęcił się pracy społecznej w Związku Polaków. Co kilka lat odwiedzał Polskę. Przyjaciół miał tu coraz mniej. W Pruszkowie: Zosia Michalska, Czesław Makowski, Witold Pakulski, a w Warszawie: siostra - Ewa, kolega z lat szkolnych, znany pisarz Wojciech Żukrowski oraz ja. Począwszy od roku 1989, przysyłałem do niego długie sprawozdania, opisujące nasze życie. Co kwartał wysyłałem do niego dokładny opis wydarzeń.

W roku 1994, w 50-tą rocznicę Bitwy o Monte Cassino, odwiedził Italię. Był w Kalabrii, w Neapolu, na Monte Cassino, w Bolonii i w Rzymie. Również jego pobyt w Polsce był wówczas dość długi. Odwiedziliśmy wtedy Pruszków. Byliśmy w gmachu Liceum Zana, także na grobie prof. Leona Ostrowskiego i Czesława Makowskiego. Nie mogliśmy znaleźć grobu prof. Stanisławy Ostrowskiej.

W roku 1996 Mietek ponownie przyleciał do Polski. Odwiedził Kraków, gdzie jak zwykle, na Wawelu, składał kwiaty przy trumnie Marszałka Piłsudskiego. Był w Myślenicach, u swego przyjaciela z II Korpusu i z Argentyny. Następną wizytę składał u Omilianowicza, w Białymstoku. W Warszawie konferował z prof. A. Stelmachowskim o sprawach argentyńskiej Polonii. Byliśmy wraz z moją żoną Ziną w Ogrodzie Botanicznym oraz kilkakrotnie w Łazienkach. Pewnego razu, gdy siedzieliśmy nad stawem, mając po prawej ręce pomnik Sobieskiego, a po lewej Pałac na Wodzie, Mietek podsunął mi niezapomniany do dziś pomysł, gdy omawialiśmy stosunki panujące w Polsce:

- Śpiewając „Boże coś Polskę” powinniśmy zmienić jeden wers „W wolnej Ojczyźnie, rozum daj nam Panie!”

Podczas pożegnania, na dworcu lotniczym, ścisnęło mi się serce, gdy patrzyłem na jego twarz zmienioną wskutek pogarszającego się stanu zdrowia.

W roku 1998, ucieszyliśmy się szczerze wraz z moją żoną Ziną, odbierając telefon z Buenos Aires, że za kilka dni Mietek będzie w Warszawie. Czekaliśmy na niego w porcie lotniczym. Przyleciał z Marysią i z synem

Luisem, którego nie widziałem przez 21 lat. Schorowany Mietek był szczęśliwy z przylotu do Polski. Powiedział nam wtedy, że spełniło się jego marzenie, aby przed śmiercią być jeszcze raz w Polsce.

Wejście do nas, na czwarte piętro, sprawiało mu dużą trudność, był u nas dwa lub trzy razy, zając się obiadami przygotowanymi przez moją żonę. Ostatni raz był u nas w dniu 15 lipca, w dzień moich imienin. Za tydzień miał odlecieć do Buenos Aires. Tego dnia nie mogliśmy się rozstać. Tyle mieliśmy sobie do powiedzenia. Około godz. 22.00 odprowadziłem go do zamówionej taksówki. Trudno było nam się rozstawać, obaj wiedzieliśmy, że jest to nasze ostatnie już spotkanie. Był to wtorek. Ostatni raz rozmawiałem z nim w niedzielę 20 lipca. Nasza rozmowa trwała około dwóch godzin. Prosił abym koniecznie był na lotnisku, na dwie godziny przed jego odlotem, abyśmy mogli jeszcze choć przez godzinę porozmawiać.

- Będiesz na pewno?

Odpowiedziałem, że będę.

Samolot do Zurichu odlatywał o godz. 18.00 Ustaliliśmy z żoną, że będziemy na dworcu lotniczym już o godzinie 15.00. Odlecieć miał we wtorek, 22 lipca 1998 roku.

Tego dnia przed południem otrzymałem telefoniczną wiadomość, że Mietek zmarł w nocy, w szpitalu przy ul. Banacha. Pochowany został na Cmentarzu Bródnowskim w grobie rodzinnym.

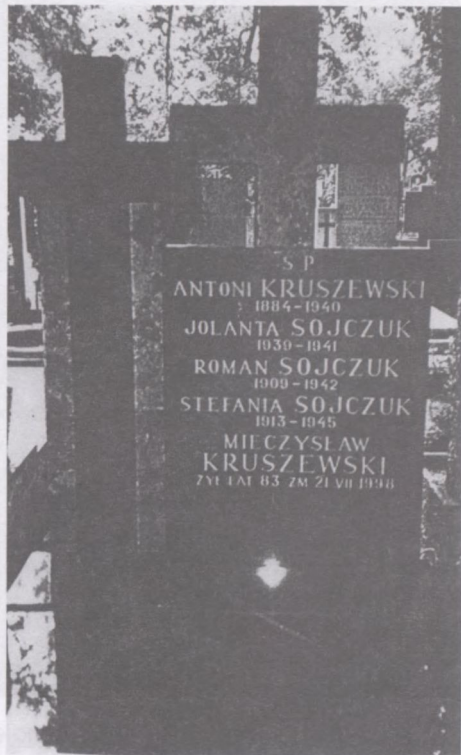
Na uroczystości pogrzebowe przyleciało z Argentyny trzech synów: Wojtek, Lutek i Marek. Przywieźli ze sobą małą paczkę, z napisem „Heniek”. Przed odlotem w swoją ostatnią podróż do Polski, Mietek kupił dla mnie pulower z wełny z lamy. W zamieszanu przed wyjazdowym paczka została w przedpokoju...

Często wspominam Mietka. Jego pobyty u nas, moją wizytę w Argentynie i fakt, że w dniu odpływu do Polski złamałem prawo tego kraju.

Zabierałem ze sobą, nie tylko prezenty, przekazywane przez Mietka, dla jego przyjaciół w Pruszkowie: dla Zosi Michalskiej, dla Ireny Świerczyńskiej, Czesława Makowskiego i dla Witka Pakulskiego, ale także dwa pudła skamielin. Skamieniałe fragmenty drzew - dar prezesa Polonii Argentynińskiej - Kazia Dziadula - dla warszawskiego Muzeum Ziemi. Fragmenty skamieniałych drzew pochodziły z „Doliny Księżycowej” i liczyły ponad 170 milionów lat. To wtedy ta żyzna dolina została odcięta od świata i od wody, przez wielkie trzęsienie ziemi. Od lat istnieje w Argentynie surowy zakaz wywożenia takich skamielin poza granicę kraju. Szczególnie cenne są skamieliny pochodzące z „Księżycowej Doliny”, po zwiedzeniu której strażnicy rewidują nie tylko zwiedzających, ale także ich bagaże i samochody. Kazio przed kilkunastu laty prowadził na terenie „Doli-

ny” poszukiwania ropy naftowej. Podczas tych wierceń udało się jemu wywieść kilkanaście pięknych okazów skamieniałych gałęzi araukarii. Wywoził je z myślą o przekazaniu do Muzeum Ziemi w Warszawie. Nie było strażników, gdy wnosiliśmy pudełka na statek. Udało się. Żałowałem wtedy, że nie zabrałem ze sobą także daru dla warszawskiego Muzeum Etnograficznego. Było to „KIPU” - zabytek kultury Inków - rodzaj listu czy zapisu, którego treści nie udało się jeszcze nikomu odczytać. Jest to sznurek długości około metra, do którego są uczone krótsze, cieńsze sznurki, a na nich zawiązywano supły różnej wielkości i w różnych miejscach. Na cieńszych sznurkach widać ślady zabarwienia. Jeszcze nikomu nie udało się odczytać przekazywanych tym sposobem wiadomości. We wszystkich krajach Ameryki Południowej istnieje surowy zakaz wywozu „KIPU”, a jednak bardzo żałowałem, że nie zabrałem „KIPU” do Warszawy.

Mnie samemu Kazio ofiarował piękny okaz: wazon z drewna „Palo Santo”, z unikalnego drzewa, którego pień ma kolor zielony. Takie drzewa rosną tylko w Argentynie, ale wyroby z nich można wywozić legalnie. Również bez żadnych obaw przewiozłem różowy kamień „rozalit” nazywany „Rosa del Inka”, kupiony w Catamarca, w jedynym na świecie mieście, gdzie są pokłady tych kamieni.



Grób Mieczysława Kruszeńskiego
na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie